

Włodzimierz Korsak

część I z IV

Sygnatura notacji: **N1364**

Data urodzenia: **10.02.1928 r.**

Data nagrania: **06.06.2019 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Lublin, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Karol Litwin**

Czas nagrania: **część I: 70 min, część II: 46 min, część III: 45 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 70 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Karol Litwin: Poproszę może na początek, żeby pan się przedstawił, powiedział kiedy się urodził, opowiedział o swoich rodzicach, o dzieciństwie i wszystko, co pan pamięta do czasu wojny.

Włodzimierz Korsak: Ja się urodziłem w Lubartowie 10 lutego 1928 roku. Ojciec w tym czasie w Lubartowie był lekarzem weterynarii. Natomiast jako dziecko ja nie znałem dokładnie pochodzenia ojca i pochodzenia mamy. Dziecko się nie interesowało i nigdy te rozmowy nie były prowadzone. Dla wprowadzenia przeszłości, że nieraz kontrowersyjne są sytuacje rodzinne, ja dowiedziałem się po wyzwoleniu w 1945 czy 1946 roku, że moja mama była pochodzenia niemieckiego. Że dziadek był Niemcem, który mieszkał w Kamieńcu Podolskim. Tam miał dużą fabrykę narzędzi rolniczych, odpowiednik lubelskiego Moritz. On tam zatrudniał, jak później się dowiedziałem, około 80 ludzi. Na te okresy carskie to jest bardzo dużo ludzi. Ale Niemcy tam się osiedlali i prowadzili działalność w fabrykach przedsiębiorstw. Natomiast ojciec pochodził spod Witebska. Tam miał dwa majątki. Ale te majątki, nawet jeśli mówiąc o dużej powierzchni, to przedstawiały znikomą wartość w stosunku do majątków na terenie Polski. Bo to tam były w większości lasy, łąki, jeziora. Dziadek, znaczy ojciec mojego ojca, prowadził hodowlę koni. Konie, które były sprzedawane dla wojska carskiego. Na tych terenach jedynie, bo upraw rolnych to było bardzo mało. A hodowla koni na tych łąkach i tych jeziorach dobrze się utrzymywała. Więc ojciec skończył w Dorpacie, to jest na Łotwie, weterynarię, dlatego żeby mieć obsługę zwierząt własną. Bo obsługa lekarza w tym czasie bardzo droga była. Ojciec w czasie przed rewolucją wyjechał na Kaukaz, koło jeziora Baku. I tam był jako lekarz weterynarii. Początkowo był bardzo źle traktowany, bo myśleli, że to jest Rosjanin. Natomiast jak dowiedzieli się, że to jest Polak, to zupełnie inne stosunki były. W chwili kiedy rewolucja wybuchła, ojca nie chcieli stamtąd puścić do Polski, czy w ogóle, żeby wyjechał.

Wybrali go na sędziego pokoju. Po półtora roku udało mu się wydostać przez góry Kaukaz do Iraku. Tam przewodnicy, którzy przechodzili przez góry, przeprowadzili ojca i w ten sposób wrócił do Polski. Natomiast kiedy ojciec już zaczął pracę w Lubartowie, to zupełnie inna... w Lubartowie jak zaczął pracę, jeszcze myśmy z siostrą byliśmy małymi dziećmi. Jak wspominałem przedtem, nie wiedziałem, skąd są takie ładne krowy. Ojciec pod Lubartowem kupił taką resztówkę i te krowy tam były, i dwie pary koni bardzo ładnych, ale później się dowiedziałem, że to za usługi weterynaryjne hrabia Zamoyski z Kozłówki nie miał czym zapłacić, to inwentarzem regulował należność. Stamtąd później ojca przenieśli do Zamościa. Tam chodziłem najpierw do prywatnego przedszkola, do pani Więckiewiczowej, natomiast siostra uczyła się normalnie. Pani Więckiewiczowa, było kilka nas dzieci, jakaś duża ilość, nie pamiętam, cztery, sześć osób dzieci było. Była bardzo wymagająca od nas języka polskiego, matematyki i między innymi gry na fortepianie. Z grą na fortepianie nie miałem problemów, dlatego że albo z panią Więckiewiczową grałem bez nut na cztery ręce, a bardzo często z mamą, bo mama grała na fortepianie. Siostra natomiast miała problemy, ja mówię chyba słuch jej uciekł, bo z nut ciężko jej wychodziło, a bez nut to w ogóle nie potrafiła grać. Szkołę, ja nie poszedłem do pierwszej klasy, bo poszedłem od razu do trzeciej, bo próbowałem się dostać, to znaczy rodzice próbowali, żebym zaczął naukę w drugiej klasie, szkoły podstawowej, ponieważ za wysoki poziom miałem, to mnie od razu przetrzucili na koniec trzeciej, tak że od razu trzecią w ciągu miesiąca czasu zdałem i dostałem się do czwartej klasy. Szkoła podstawowa była niedaleko nas, jak mieszkaliśmy w Zamościu. Przy dawnej Lwowskiej, dzisiaj chyba ulicy Partyzantów, przy torach kolejowych była szkoła. Między innymi tam prowadził wychowanie fizyczne, dzisiaj można powiedzieć, i rysunki, druh Szczesławski. No i nas młodych chłopców, część do zuchów, a zdolniejszych i sprawniejszych chłopców, nawet wiekiem nie byłem młodszy, do harcerstwa. No i wyjeżdżaliśmy na obozy, niedaleko Zamościa, na wędrowniki, chodzenie po śladach, odczytywanie znaków. To było dosyć ciekawe i mnie to interesowało. Jako chłopca, to dosłownie chętnie człowiek korzystał z takich obozów. Na jednym z obozów, pamiętam, w nocy miałem wartę, ale byłem chyba strasznie śpiący, bo zasnąłem. No wiem, że druh Szczesławski podobno w koce mnie owiniął i położył, bo ja się później obudziłem, mówię, skąd ja jestem owinięty w koce i niezmarnięty. No na drugi, jak już dzień był, to powiedział: „Zasnąłeś, wartę masz do tyłu”. Ten okres bardzo szybko przeszedł. Był taki 1939 rok, przepraszam, 1938 rok. Mama ciężko chorowała. Poziom medycyny wtedy był zbyt słaby czy niewystarczający. Miała, po śmierci stwierdzili lekarze, że miała niedrożną jedną nerkę, a drugą już rak atakował. Być może, że później to na mnie przeszło. Była w szpitalu w Zamościu, później stamtąd została przewieziona do Warszawy. Lekarze w kilku szpitalach ją przesuwali. Ostatecznie wylądowała w szpitalu ewangelickim, który był przy ulicy Nowolipie w Warszawie. Ten szpital mieścił się między dwoma polskimi domami, a resztę to były domy żydowskie. Całe Nowolipie, Nowolipki, Nalewki to wszystko były żydowskie domy, tak jak pamiętam. Po śmierci mamy, ponieważ ojciec został sam, siostra została przewieziona do Lublina, znaczy dostała się do Lublina do Urszulanek, a ja dostałem się na [do] Ojców Marianów na Bielany. Tam był dosyć rygor, dosyć ostry. Łacinę trzeba było dobrze znać w ministranturze, nieraz czasami w nocy, w początku nocy, jak zasypiałem, któryś z tych ojców budził, zaczynał łacinę, ministrant który jakiś urywek i trzeba było dalej odpowiadać. Trzeba było wykuć na blachę. Do dzisiaj dnia jeszcze pamiętam to. Tak że kwestia służenia do mszy i odpowiadania nie po polsku, tylko po łacinie nie było dla mnie już żadnym problemem, bo wbite miałem dokładnie, idealnie. Moment był taki, jak gdyby można powiedzieć, psychozy, kiedy zbliżała się wojna w 1939 roku. Ludzie tak jak gdyby wyczuwali jakieś coś, jakąś niepewność, nie może tyle strach, ale takie jakieś osamotnienie. Jako dziecko tego ja nie rozumiałem, ale później to tak. W każdym razie przeszedłem obronę Warszawy w 1939 roku. Pierwszy raz poznałem jako dziecko, co to jest głód. Głód był w ten sposób odczu-

wany, że nie można było kupić, co się chciało, bo część sklepów było sprzedane albo rozgrabione. Włamane, rozgrabione. Natomiast magazyny wojskowe były pilnowane, nie dopuszczali do społeczeństwa. Część ludzi na przedmieścia Warszawy wybierali się, żeby dostać się gdzieś do pobliskich wsi. Niemcy albo zabijali, albo zatrzymywali, nie pozwolili wrócić. Często wychodziliśmy bardzo rano z 3:00–4:00 nad ranem pod piekarni, które jeszcze pracowały, i stało się w kolejce, żeby kupić kawałek chleba. Nieraz Niemcy z karabinów maszynowych w te kolejki strzelali jak do kaczek, bo szrapnele padały. Pamiętam 1 września, o godzinie chyba 7:00 z minutami, czy 6:00, już dokładnie tego nie przypominam sobie, pierwszy nalot na Warszawę. Próbną naloty już przedtem były organizowane i robione, okna zaklejone paskami na krzyż. No i wszyscy musieli uciekać, gdzie? Do piwnic. Ale piwnice nie były przystosowane do warunków. Jak dom się by zawalił, piwnice by, czy te stropy wytrzymają. No, ale rozkaz był, psychoza, uciekać do piwnicy. Ja czułem niechęć czy wstręt chowania się w piwnicach, zwłaszcza lament tych ludzi. Część lamentuje, część się modli, część śpiewa. Taka jakaś psychoza strachu. Ja mówię, jeśli mam zginąć, to już wolę w wyższej części. I uciekałem o piętro wyżej nieraz. Któregoś dnia uciekłem wyżej w czasie nalotu i zauważyłem, że ciocia chleb zostawiła na wierzchu. Nie schowała chleba, na wierzchu. A głodny byłem, więc ukroiłem sobie kawałek, pajdę chleba, nazwijmy, sobie ukroiłem. I raz, dwa pobiegłem o piętro wyżej, żeby z nią szybko zjeść. Zaspokoić częściowo głód. No po powrocie ciocia się pyta: „Który to z was kroił ten chleb?” Bo to widać, nierówno, dziecko nierówno tak kroi, jak dorosły nie ma tyle siły. No wiadomo, że padło na kuzyna, na Rutka, bo to on lubił zjeść więcej, a trochę tęgi był, bo ja byłem szczupły. I ja mówię: „Ciociu, to nie on, to ja to zrobiłem”. „Gdzie ty, ty nie miałeś nawet możliwości kiedy, byłeś na dole w piwnicy”. Ja tłumaczę, i Rutek za mnie dostał karę. Pozbawiony został chleba, porcji chleba, którą miał dostać. Więc ja połowę swojej porcji oddałem jemu. Po cichu przed ciocią. Był też taki fragment, znaczy psychoza w czasie tej obrony Warszawy była, robimy zasieki przeciwko czołgom. Więc meble, jakieś rupiecie wynosili, barykady były robione na ulicy. Bez żadnego sensu, bez żadnej jakiejś potrzeby. Straż pożarna w czasie pożaru niejednokrotnie nie mogła dojechać. Musieli rozwalić to, żeby dojechać. Przecież czołg, czy nawet wóz pancerny bez żadnego wysiłku te zasieki to by rozwalił. No ale była psychoza. Ludzie, młodzi mężczyźni elegancko ubrani, bądź w płaszczach, kurtkach skórzanych, byli zatrzymywani, posądzeni, że to są szpiecy. Nie wiem co się dalej działo, psychoza takiego pana, czy młodego mężczyzny, ludzie zatrzymywali, oddawali do wojska. Któregoś razu chciałem koniecznie przejść do któregoś z kolegów na Marszałkowską, ale tam był nalot i zobaczyłem, że są worki ułożone, myślałem, że to z piaskiem, a to okazało się, że to były worki z ryżem. I z jednego worka ten ryż się wysypywał. Ja podszedłem i zacząłem ten ryż zbierać i do kieszeni, no w spodniach, jak dziecko, 11-letnie czy 12-letnie może mieć, jakie głębokie kieszenie. No, to tam może garstka była może tam parę deko czy kilkanaście deko, no, może pół kilo góra to napchałem do kieszeni. Któryś z żołnierzy wyskoczył i mówi, na mnie skrzyczał, że ja kradnę ryż. Ja mówię: „Przecież to się sypie na ziemię”. Mówi: „Tak? To zabieraj ten worek”. Worek mógł mieć 30–40 kilo. Nie miałem siły, żeby go wziąć, ale ciągnąłem. Jak długo ciągnąłem, to nie wiem, bo i spocony byłem, i zgrzany, ale tego worka nie chciałem nikomu dać i popuścić. No w końcu dociągnąłem na Nowolipie, pamiętam jak dziś, Nowolipie 18, mieszkania 15, i ten ryż, mieliśmy nareszcie jedzenie. Ale sobie proszę wyobrazić, nie ma soli, o cukrze to w ogóle nikt nawet nie marzył, ale soli nie było. Ryż pięć razy dziennie czy trzy razy dziennie w różnych postaciach. I na rzadko, i na gęsto, bo coś musi człowiek jeść. Nieraz już, jak żona w Lublinie, jak już byłem w Lublinie, w latach 50., 1956–1957, żona czy teściowa ugotowała ryż, to ja na to tak jak pies patrzyłem jednym okiem, znów będę jadł ten ryż. No, taka pozostałość z tych lat, w każdym razie, ryż uratował nas. Upadek Warszawy byłby taki szokujący, nieprzyjemny. Nie rozumiałem, dlaczego Żydzi noszą opaski. Niemcy chyba kazali wtedy opaski, żeby nosić. Mało

tego, że opaski, wszystkie jakieś zasieki, jakieś rowy, nie Polacy to zasypywali, tylko Żydzi. Taka jak siła robocza, odwrotnie, bo wszyscy kopali, to wszyscy powinni to zasypać. Pamiętam taki moment, kuchnia była wojskowa, kucharz coś tam, coś się gotowało, a to chłopaki, tak jak te szczenięta, patrzą na to gotowane, zapach ten taki grochówki gotowanej, aż człowiekowi żołądek się przekręca. No woła ten Niemiec, żebyśmy wzięli garnki i przyszli. Ponieważ mama uczyła nas języka francuskiego i niemieckiego. Znaczący ja znam podstawowe słowa, nie to, że mógłbym mówić biegle, czy coś takiego, ale podstawowe słowa nauczyłem się. Zrozumiałem tyle, że ten Niemiec mówi, że: „Hołota, chodźcie, to wam dam koryto”. No myśmy tam z kilku chłopaków podeszło i on tam wlewa, jak doszło do mnie i mówi do mnie: „Żryj, ty polska świnię”, to nie wytrzymałem nerwowo, jak tę menażkę z tą zupą wyrzuciłem w niego i uciekłem. Ten Niemiec, nim złapał karabin, to już ja daleko byłem, w każdym bądź razie w moim kierunku chłopcy później mówili, że w twoim kierunku strzelał, a tych wszystkich, co pozostali, co nie dał im zupy, to rozgonił. No nie wytrzymałem nerwowo, mówię, jak można nazwać, że ja jestem polska świnią. No, w każdym razie, stamtąd później ojciec przyjechał, to już było chyba w połowie września, bo gdzieś na początku września, nie, pod koniec września Warszawa się poddała, a wrzesień był tak piękny, ciepłutki, był ładny, tak jak w zeszłym roku, ciepło, upał, żar się z powietrza lał. Ojciec zabrał mnie, przyjechał do Lublina, a sam jeszcze w tym czasie pracował w Zamościu. Ponieważ przed wojną kupił resztówkę majątku, Trześniów się nazywał, to jest dzisiaj, przy Trześniowskiej jest, to myśmy, tak jak wspominałem, konie były, od hrabiego Zamojskiego, krowy bardzo ładne, tłuste mleko dawały, tak że i ten pracownik, który końmi się zajmował, i rodzina, dostawali deputat mleka, i my mieliśmy pod dostatkiem, tak że resztę do mleczarni się odwoziło. Jednak na początku 1940 roku, pod koniec 1940 roku, tak, pod koniec 1940 roku, Niemcy nas wyrzucili. Pozwolili zabrać meble, ubrania, a bydło i wszystkie inne, to trzeba było zostawić. Cofnę się na moment, wspomnę o Żydach. W Lublinie jest kamienica, róg Lubartowskiej i Unickiej. To jest budynek pana Kawy, ponieważ pan Kawa skupował bydło, ale wywoził do Niemiec, czy do krajów z Polski, żeby wywieźć bydło, musiał mieć zgodę lekarza weterynarii. Musiało być to bydło przebadane, czy ono jest zdrowe, i stąd znajomość pana Kawy z ojcem. Pamiętam, że pod koniec 1940 roku, ten pan Kawa często coś z ojcem spotykał się, przyjeżdżał, o czym rozmawiali, to wtedy nie wiedziałem. Ale kiedy nas Niemcy wyrzucili, to ojciec mówił, że pan Kawa chciał wykończyć dom, bo tam ojciec kupił, to był dom jednopiętrowy, duży, w stanie surowym, z oknami, z drzwiami, tylko brakowało otynkować i instalację założyć. Powierzchnia, założmy na parterze, to jest 120 metrów, pierwsze piętro i poddasze użytkowe, duże. Ale ojciec nie rezygnował, bo powiedział, że zatrudnia się tutaj ludzi, bo były tam duże szklarnie, tam od 10 do 20 kobiet pracowało, to mogą zauważyć i donosić. Oni chcieli mieszkać w części podpiwniczonej budynku tego nowego, a on nie był głęboko wpuszczony, tylko te piwnice to prawie można nazwać głęboki parter. No, ojciec się nie zgodził, powiedział, że nie chce pieniędzy i nie wyraził zgody. Natomiast niedaleko nas mieszkali państwo Szyszkowscy. Córka państwa Szyszkowskich wyszła za Cioczka znanego rzeźnika w Lublinie. Państwo Szyszkowscy mieli dwóch synów i córkę: Wacek, Mietek i Marysia. Ja nieraz, starsi ode mnie byli, ale utrzymywaliśmy stosunki, że tak powiem. Oni przychodzili do nas, ja tam chodziłem często. Wiem, że jak wchodziło się, oni postawili świeży dom tam, głogowe pole kupili. Jak się wchodziło przez sień do kuchni, to z tej kuchni to były przejścia z jednej strony do pokoju drugiego i za kuchnią następny pokój. I tam Wacek, i Mietek mieli swój pokój. Ja nieraz do nich przychodziłem. Pani Szyszkowska zawsze coś w kuchni gotowała, robiła. Nie zrobiła żadnych problemów, żebym ja tam nie poszedł. Ale był moment, że pani Szyszkowska stawiała jak Rejtan w drzwiach i nie puszczwała. Mówiła, że nie ma tam nikogo, oni w stodole coś robią. No, to szedłem do stodół. Faktycznie jeden z nich był w stodole, a drugiego nie było. Ale ja wtedy nie zwracałem uwagi, dlaczego ona mnie nie puszcza. Nigdy tego nie robiła. W stodo-

le są tak zwane zapola. Część w środku jest zawsze klepisko, żeby można było młócić zboże. Nie tak jak dzisiaj kombajnem, ale kiedyś cepami się młóciło. Były takie deski po bokach obite. Na wierzchu dalej zboże było złożone do młócenia. Ja któregoś razu z Mietkiem coś robiłem i oparłem się o te deski. Jedna z tych desek się odsunęła. Ja mówię: „Daj mi młotka i przybić tę deskę”. Ale ruszyłem ją, a patrzę, a tam u góry jest normalne zboże, a tu jakaś dziura. Mietek mówi: „Nie pchaj tam nosa, bo tam mogą być jakieś myszy czy szczury”. Ja wtedy nie skojarzyłem co. Okazuje się później, to już w 1945 roku, Mietek mi mówił, że: „Miałeś dobrego nosa, przecież tam Żydów trzymaliśmy. Najpierw w izbie, dlatego matka nie wpuszczała, żebym ja nie zobaczył, a miałeś nosa, że tam nie szczury, tylko ktoś inny”. Ja mówię: „Gdzie tu szczury, kiedy to taka duża dziura jest? Tam człowiek może siedzieć”. Ale jako dziecko czy jako chłopak dorastający, co mnie interesował. Dziura, no to dziura. Faktycznie, że tam przetrzymywali Żydów. Dostała Marysia odznaczenie, ona już nie żyje. No i weszła ta Cioczka. Cioczkowie mają dzisiaj w Lublinie kilkanaście sklepów wędliniarskich. Posiadłość, mi wylatuje nazwa nieraz. Tu jak się na Piaski jedzie, ten dwór taki po lewej stronie jest. To wiem, że to oni kupili i tam urządzili restaurację. Z czasów jeszcze taki moment o Żydach, to pamiętam, nas jak Niemcy wyrzucili, to przenieśliśmy. Ojciec został w Lublinie, natomiast ja z siostrą i siostrą ojca pojechaliśmy do Żabiej Woli, majątku Żabia Wola, a dzisiejsza Pszczela Wola. Ta miejscowość to Wierzchowiska. Tak, ja zapomniałem tę nazwę, Wierzchowiska. Więc przenieśliśmy się do Żabiej Woli. To był majątek ciotki Łądowej. Moja ciotka, siostra ojca wyszła za hrabiego Brezę, a ciotka Łądowa z domu Breza była siostrą cioteczną wuja. To jest bardzo bliskie pokrewieństwo. W każdym razie tam ja w czasie okupacji byłem. Ale taki moment o Żydach chciałem wspomnieć, że między majątkiem Żabiej Woli a Piotrowicami, majątkiem, nie, Osmolice, była osada żydowska nad Bystrzycą. Koło Bystrzycy. Nie pamiętam, czy tam było 10 czy 15 domów drewnianych, nie murowanych, drewnianych. Tam byli lekarze, czy to po ucieczce z miasta, czy skądś tam, mieszkali. Wiem, że i szewc był, i dentysta był. Tak że były różne zawody tam. Oni uciekli z miasta i tutaj się zatrzymali. W każdym bądź razie, jak Niemcy już rugowali ze wszystkich miejsc Żydów, tam ten teren został otoczony. Pamiętam, jak przejeżdżałem konno, to widziałem z daleka, że to jest teren otoczony. Nie puszczali drogą, kazali zupełnie przez pole jechać. I furmanki były, i tych Żydów na furmanki pakowali. Ale żadnych tam mebli ani nic nie zabierali. Jakieś osobiste rzeczy, żadnych walizek, tobołów nie wolno im było zabrać. Ja wtedy jechałem do Piotrowic, do gminy, po jakieś dokumenty. Kiedy wracałem, to już ich nie było. A te drzwi i okna były jakimiś pasami zaklejone. Tak, żeby nikt nie ruszał. Ale dwa dni potem jechałem na pole, i któryś z robotników mówi, że „Żydów kradną”. Przecież jak Żydów wywieźli, to jak kradną. Ponieważ bardzo często konno jeździłem, podjechałem bliżej. Z tej osady, te okna pootwierane, drzwi powyrywane, część mebli, które były nieprzydatne, powyrzucane. Mówię: „Co, Niemcy to tak robią?” Mówi: „Nie, sąsiedzi”. No, pazerność ludzka jest. Niemcy nie zniszczyli, ale własni ludzie sami to poniszczyli. No, trudno, tak życie nieraz bywa. W każdym razie, tam normalnie, poza obowiązkami, ciotka wymagała, żebym się uczył. I miał obowiązki też, i pracy przy... Do udoju rannego, 4:00–5:00 wstawać, być przy udoju. Czy pojechać w pole, jak robotnicy pracują. Jak był okres koszenia łąk, część łąki, kosiarki mogły wjechać konne, a część były tak, konie zapadały się, więc to przeważnie kosami kosili. Ale część właśnie tam, gdzie były te kosy, kosami kosili, to chłopci z sąsiedniej wsi Żabia Wola, kosili. Był taki układ ustny, że co czwarta kopica, to jest dla tego, który to kosił, a te pozostałe dla majątku. Ale ja zwróciłem uwagę, że te kopce czwarte są wysokością jednakowe, ale jak rękę wsadziłem, to twarde, a natomiast te trzy pozostałe, to dosłownie nogą kopnąłem, to się rozlatywały. Ja mówię, jak cwaniacy jesteście, to ja też jestem cwaniak. Nie liczymy od przodu pierwszą, tylko którąś tam z rzędu, tak że płacz, zgrzytanie zębów, że oni są pokrzywdzeni. Ja mówię, jak jesteście pokrzywdzeni, to ja wam prosty sposób dam. Rozwalić to wszystko i na nowo w kopiec poukła-

dać. A ja wyznaczę, od której będę liczył. Wtedy nie wiadomo, która wypadnie, żeby wszystkie musiały być jednako zrobione. To chłopci mówili, że: „Cwaniak to jest, nie dam się w konia zrobić”. W każdym razie kierownik szkoły podstawowej, pan Koszałko, bo zapamiętałem jego nazwisko, wiem, że organizował działalność partyzancką. Ale ja wtedy nawet nie myślałem o tym, czy jest możliwość wstąpienia, czy nie, bo za młody byłem. Ale ponieważ wzrostem byłem wysoki, od dziecka byłem wysoki, jak pytał mnie się, kiedy ja się urodziłem, to podałem datę swojego urodzenia, tylko rok siostry, siostra o dwa lata starsza. Więc w tym czasie mogłem należeć do organizacji. W każdym razie zacząłem działalność w organizacji, przyrzeczenie i przysięgę składałem u niego. On miał pseudonim „Bohun”. Ale działalność na samym początku to były ćwiczenia, obchodzenie się z bronią, składanie broni. Tych problemów dla mnie nie było, bo ojciec miał dwie dubeltówki. Ja często jeździłem z nim na polowania i obchodzenie się z bronią nie było problemem.

Karol Litwin: Jaka to była organizacja?

Włodzimierz Korsak: Proszę? Gdzie pan stworzył przysięgę? W Armii Krajowej.

Karol Litwin: Jaki pan miał pseudonim?

Włodzimierz Korsak: Kto?

Karol Litwin: Pan.

Włodzimierz Korsak: „Kos”?

Karol Litwin: „Kos”.

Włodzimierz Korsak: Dobrze.

Karol Litwin: To był w Żabiej Woli, tak?

Włodzimierz Korsak: W Żabiej Woli.

Karol Litwin: To była placówka Żabia Wola. – A który rok?

Włodzimierz Korsak: To był rok 1943. Koniec 1943 czy maj, czerwiec, gdzieś tak. Ale to ja byłem krótko, bo później stamtąd... Ojciec zmusił mnie, nie zmusił, załatwił, żebym zaczął chodzić do szkoły w Klementowicach, szkoła rolnicza w Klementowicach była. Ale to było w 1943 roku. To był gdzieś chyba wrzesień. I tam chłopcy starsi ode mnie normalnie wrywali nauki. Ale nauka, między innymi, przyjechał jakiś Niemiec i zaczął robić segregację. Który z tych chłopców umiejętnie potrafił prowadzić płodozmiany, upraw rolnych i czy umie robić w polu. No więc najpierw oranie, kopanie kartofli ręcznie, mechanicznie, dojenie krów automatem, znaczy tymi dojkami elektrycznymi, żeby

doić krowy. Problem był, że część chłopców zdawała bez trudu, ale między innymi był egzamin z kucia konia, przygotowanie kopyta, zdjęcie podkowy starej, przygotowanie zrobienia podkowy z płaskownika, nie to, że gotowa, tylko z płaskownika przygotować. Ja się tego nauczyłem od kowala w Żabiej Woli. Gryka, to był kowal, ja mu nieraz, jak przyszedłem, pomagałem, nie musiałem, ale przez ciekawość chciałem się nauczyć, jak to się robi i co. No w każdym razie po trzech miesiącach ja egzamin zdałem, bez problemu, bo wszystkie rzeczy umiałem. Niektórzy na koniach się kładli. Najgorzej było z pszczołami. Ale ponieważ pamiętam, że ojciec miał pnie z pszczoł, tam ja czasami ogrodnikowi pomagałem wyciągać te ramki. No to te rzeczy podstawowe tak, natomiast układ, jakie pszczoły, jak pilnować, jakie ten... No to nie umiałem, ale w sumie całość zdałem bez problemu. Po tym wszystkim Niemcy nas mieli kierować gdzieś na ziemię, na Ukrainę, na prowadzenie majątków, znaczy dawnych sowchozów czy kołchozów. Ja nie liczyłem się z tym, że tam pojedę, czy coś będzie. Przeskoczyłem na temat, jak mówiłem, pana Kamy i Cioczków. Był moment taki, że ten robotnik, który obsługiwał konie, wieczorem. Konie z 1940 roku, początek 1941 roku, to w zimie, nie w zimie było, to jeszcze wtedy nie było zimy, tylko gruda, mówił, że ojciec kazał jemu wziąć konie i podjechać pod Kawę i kogoś tam zabrać, ale w nocy. I on się boi, mówi, że ja znam trochę niemiecki, to jak Niemcy nas zatrzymają, to się z nimi jakoś dogadam. No pojechaliśmy tam, wóz drabiniasty ze słomą. Ile tam osób wsiadło i kto, to była ciemna noc. Nie wiem, ja tylko powiedziałem, żeby nogi nie wystawały między szczeblami, tylko żeby albo kucnęli, albo się położyli w tej słomie, żeby byli schowani. Wywiozłem ich za Pliszczyn, pamiętam w Pliszczynie przez most, przez most przejechaliśmy, skręciliśmy w lewo i w te lasy. Czy tamto była jakaś osada, czy to była tylko gajówka, w każdym razie tam się zatrzymali, oni wysiedli, podziękowali, ja konie batem i z powrotem do domu. Dlatego mówię, kto tam jechał i jak, to nie wiem, to później nawiję, jak siedziałem w więzieniu. W każdym razie cofnąłem się trochę z tym, bo sobie przypomniałem. Po skończeniu szkoły, właściwie po zdaniu już egzaminów, ja bardzo krótki okres miałem przed tym, praktykę w majątku Celejów, był taki stary dwór, to dzisiaj jest. Duży stary dwór z taką olbrzymią wieżą, dwór był zbudowany w kształcie tak jak podkowa. I ta wieża to miała być tym początkiem podkowy. W każdym razie z tej wieży przejścia podobno były, przejścia pod stawami. Kiedyś próbowałem przejść z tymi, ale tam były zalane, albo niekonserwowane od początku. Był moment taki, że będąc już w Celejowie, w Klementowicach w szkole, czasami tam przejeżdżałem i nie wiedziałem z jakich powodów Niemcy, znaczy Niemiec miał, nie wiem ile, Rosjanie z grupy Własowa, Rosjanie tam byli w tym pałacu. Co oni właściwie robili, to nie wiem, w każdym razie dziwiłem się, co oni tam mają robić, kiedy tu są już oddziały partyzanckie, chodzą, a oni tam mają te rosyjskie karabiny, jak rosyjską ten i Niemiec, który nimi dowodzi. Część tam puciekąta, a część chyba została. Nie wiem, co się później z nimi stało, ale taki moment był. W 1944 roku na początku, gdzieś w lutym czy w marcu był okres, że tak powiem, nasilenia działalności oddziałów partyzanckich. W każdym razie poznałem wtedy z działalności z grupy „Nerwy”, to był oddział szkoleniowy. Często właśnie zatrzymywał się w pobliżu Żabiej Woli, albo nawet wyjeżdżał i tam, przypuścmy, prowadził działalność, musztrę i inne, w części majątku, bo tam był duży taki folwark, to duża przestrzeń. Daleko było od Niemców, na polne drogi, a charakterystyczne, że jest jedną rzeczą, że przy polnej drodze, jeśli jedzie samochód, to z daleka go słychać. A jeśli natomiast furmanka, to słychać parskanie koni, i uderzenia, rozwór, bo przy kołach drewnianych, one uderzają i słychać ten klekot z daleka. Tak że nie było problemu, żeby ktoś tam szybko mógł dojechać, żeby nie rozpoznać. I między innymi, synowie państwa Chamców, którzy przedtem mieszkali w Żabiej Woli, Andrzej, Krzysiek i Marek, i najmłodsza była ich siostra, Anula. Andrzej i Marek należeli do AK, w Prawiednikach byli. No i zaczęła się rozmowa, czy ja znam dobrze broń, czy jak strzelam. Ojciec mnie uczył przed wojną strzelać, strzelałem z dubeltówki, nie dwunastki, tylko szesnastki, bo dwunastka strasznie kopała. Natomiast z [niezrozumiałe]

często strzelałem. No i któregoś razu przyjechali, to był „Luśnia”, a to był Jasio Ramut, a „Luśni” to niby pamiętam nazwisko, Jasio Ramut razem ze mną egzamin zdawał w Klementowicach. No i przyjechali, i mówi: „Słuchaj, może byś do nas przystąpił”. No mówię: „Ja jestem na placówce tu, w Żabiej Woli”. „Ale chodź, pojedź z nami, ty jeździsz dobrze konno, to chodź z nami”. Pojechałem z nimi do Prawiednik, tu za lasem była resztówka jakiegoś majątku. Ciągnęła się ten, taki dziwny układ był, bo była kryta słomą, taki budynek szopa była na narzędzia, później stodoła w takim ciągu, drewniana, znaczy murowany spód, góra była słomą kryta. Stajnia, czworak, tam, gdzie mieszkali ci robotnicy, wozownia i dom mieszkalny, to wszystko w jednym ciągu. Przeskoczę trochę do przodu, że pamiętam, dlaczego tu opowiadałem tak dokładnie ten ciąg. Bo kiedyś jechałem konno, z nimi byłem umówiony, a nie jechałem już drogą, tylko przez łąki, bo przez łąki było bliżej. Deszcz padał, wichura była, i błyskawice. W każdym razie z daleka widzę, że gdzieś błyskawice, pioruny wałą, ogień się pokaże, znaczy dym się pokaże i po pewnym czasie znów błyskawica gdzieś uderzyła i dym. Okazuje się, że błyskawice waliły w ten dom, znaczy ten ciąg budynku, zapalały dach, jedne błyskawice zapalały, a drugie gasiły. No i taki był moment, czy tam później, ponieważ pod stropem była amunicja, broń tam była pochowana, to zaczęło strzelać, trochę rozwalać. W każdym razie z Krzyśkiem, ja konia wiązałem przed domem i chciałem wejść do środka. Kiedyś na wsi były nie klamki, jak teraz są, tylko takie jak gdyby podnoszone, takie... To były już takie stare dziury i myśmy chcieli wejść, we dwóch żeśmy się zaczęli przepychać do tych drzwi, tak wpadliśmy i chcieliśmy wpaść. Szybko otworzyć, bo mokrzy byliśmy, żeby do środka, do kuchni. W każdym razie obydwaj żeśmy się zderzyli i odpadliśmy, coś błysnęło koło nas, wtedy nie wiedzieliśmy co. Okazuje się, że później piorun wywalił dziurę, ten zamek cały wyleciał i dziura tylko została spalona. A pani Chamcowa trzymała kijek drewniany od reszty garnka, którym smażyła konfitury. I z pretensjami: „Coście, gówniarze, zrobili i podłożyli coś do tego ognia”. No, później doszliśmy do wniosku. Z tego rondla aluminiowego, miedzianego, przepraszam, w którym smażyła konfitury, nie zostało nic, bo to wszystko zostało i ta cała kuchnia spalona, znaczy roztopiona. Piorun jak leciał, prawdopodobnie po górze, ciepły komin był, przez ten komin wpadł do środka. Pani Chamcovej została się ręczka z tych konfitur, a nas szczęśliwie, żeśmy się przewrócili, dziura tylko w tych drzwiach została. Dlatego mówię, taki fragment przypominam sobie. W każdym bądź razie tam straż przyjechała, motopompa ręczna, ciągnięta z Bystrzycy woda tak jak kropidłem trząśł, to ta pompa podawała tę ilość wody. W każdym razie to się popaliło wszystko. Ale przedtem właśnie spotkałem tam Szarugę, to był zrzutek Cichociemny. Jeśli ja wtedy jako gówniarz byłem wysoki, a on stanął koło mnie, to mi ledwo do ramienia sięgał. Mówię, jakiś mały kurdupel, co on tutaj, jaki to dowódca? Ale ugryzałem się w język, trzeba zobaczyć. No, pytania, czy umiem jeździć konno, mówię, tak. Jak? Mówię, mogę na oklep pokazać. Mówię, panu, że w pełnym galopie na koniu na oklep bez siodła się utrzymam. „Nie może być”. No, to kazał konia wyprowadzić, zdjęć siodło. Na lonżę, na lonży w galopie. Byłem młody, to na żrebaka przecież wskakiwałem bez żadnych problemów. Aby za grzywę się tylko dobrze złapać no i utrzymać się na koniu. Kwestia mocnych kolan. Mówi: „To dobrze. A jak strzelanie?” No, mówię, że... „To przejdiesz do nas?” Ja mówię, że w Żabiej Woli jestem. W placówce musiałbym zgodę jego mieć, Bochuna. W każdym bądź razie na kilka akcji z nimi jeździłem. Znaczący, akcje polegały na tym, że zrzuty, które były, to trzeba było dobrze pilnować, gdzie te rzuty wiatr zwieje. I końmi, konno było o wiele szybciej dojechać. Znaczący złapać spadochron, zwinąć go. I drugi, bo we dwóch zawsze jeździliśmy. Drugi wracał, żeby konie, które były, furmanki, które zabierały te pojemniki. Pojemniki i spadochrony. Nieraz czasami wiatr wiał tak paskudnie, że na drzewach gdzieś tam wylądował. Nieraz niektóre pojemniki były daleko gdzieś, nieodnalezione zostały. No, to może ktoś tam znalazł. W tych pojemnikach to była tak: broń, amunicja, mundury, lekarstwa, narzędzia chirurgiczne. W niektórych była nawet i czekolada. Czarna

czekolada. Próbowaliśmy to ułamać, to nie dawało rady. To trzeba było brać siekierę albo toporek, żeby to odłupać. Gorzka, czarna czekolada. Przed każdą akcją dostawaliśmy po kawałku takiej czekolady. No, to była frajda. Większość nas była umundurowana w mundury angielskie. Tylko można ten mundur było założyć, kiedy się jechało na akcję. A po tym wszystkim trzeba było mundur schować i nie wolno było nosić. Część dziewczyn z tych spadochronów szyla koszule, bluzki. Później wyszedł rozkaz, że to nie wolno, bo Niemcy mogą się zorientować, skąd, jak brak jest ubrania, bielizny, skąd mamy takie koszule. Więc nie wolno było ich nosić i nie wolno było szyć. Co z tym zrobiło się? Nie wiem. W każdym razie był taki moment, że niedaleko Świtańca, w Zamojskim, lądował w nocy samolot, każdy miał wyznaczone jakieś zadanie. Nie to, że przypuścimy hurmom przyglądamy się. Dziewczyny miały ogniska pilnować. To znaczy na określonej godzinie koce były zszywane, czy tam plandeki, nie pamiętam dokładnie, co tam było. Ogniska były zakrywane i później na komendę były odkrywane, tak żeby ten lotnik, który leciał, wiedział, jak ten pas startowy wygląda. Przecież nie było sygnalizacji żadnej innej, radiowej czy telefonicznej, tylko wizualna. W każdym razie on wylądował wtedy, ale to wiadomo, że to nie było lotnisko przystosowane do warunków. Gdzieś jakaś bruzda była albo miedza za wysoka, i jedno podwozie jemu się złamało. Pamiętam, jak któryś z dowódców krzyknął: „Dawać kunicę”. Nie wiem, czy panowie wiedzą, co to jest kunica. W chłopskich czy w furmankach są z tyłu przy tych, podtrzymujące pomosty takie nazywane popularnie kunicą. To są takie drewna, które nie pozwalają, żeby pomosty się na boki rozkładały. No i lejce, tylko lejce skórzane. I jedną tę nogę, że tak powiem, obwiązali po ciemku, bez żadnych jakichś tych... Lejce były rzemienne i ten samolot, bo to wiem, że ktoś wysiadał, jakiś pan znów wsiadał, tylko tyle wiem, pamiętam, że tam cień był. To jakoś szczęśliwie wylądował z tą podłamaną, że tak powiem... W każdym razie po tym wszystkim działalność partyzancką to właściwie z chwilą, kiedy w 1944 roku Rosjanie weszli do Lublina, to był chyba 21. czy 22 lipca. Wiem, że przed wejściem ich był rozkaz zdać broń bądź schować broń, nie ujawniać się. Po tym wszystkim ja przeniosłem się, ojciec kazał wrócić do Lublina, ja zacząłem chodzić do gimnazjum, właśnie do liceum Batorego, gdzie w Lublinie dzisiaj jest hotel na Krakowskim Przedmieściu. „Lublinianka” kiedyś się nazywała. W 1945 roku ja wracałem z lekcji, mieszkaliśmy wtedy w Rynku, Rynek 10, dozorca, taki starszy pan, on chyba gdzieś ze wschodu był, z Wołyńskiego, bo mówił do mnie: „Panocku, za winkiel”. „Panocku, idziemy za winkiel”. Myślę, coś się spił, czy co on chce ode mnie. Tą miotłą macha mi przed nosem. Ja koniec końców idę za winkiel. Mówi: „Poszli do ciebie koledzy”, „– No, to dobrze – Ale oni poszli w drelichach”. Mówię „W drelichach to już nie, to już nie koledzy”. A ja jako narwany chłopak, bo tak można nazwać, działalność partyzancka się skończyła, ale mundur mogłem nosić. I poza tym przed kolegami szpanować, że ja mam mundur angielski, a wy w czym chodzicie. No i chodziłem tak. Być może, że jakaś dobra istota podała, że ja w oddziale jakimś byłem, bo chodzę w mundurze. Dwa czy trzy tygodnie kocioł był u mnie w domu. Nie wypuszczali, kto przyszedł, to zatrzymywali. Tam zmiany tylko były u ubowców i żywność przynosili, żeby ci, którzy byli zatrzymani, żeby mieli co jeść. No w każdym bądź razie żadnych dokumentów nie znaleźli, broni nie znaleźli, bo ojciec przezornie, tak jakby przepuszczał przed ich wejściem, bo ubikacja była wspólna na każdej kondygnacji, bo to stare budownictwo pożydowskie, do ubikacji nad tą spłuczką rewolwer został i pistolet maszynowy Sten. Tam na wierzchu położył, bo później pytałem się ojca, gdzieś tato to schował. Mówi: „Tam położyłem, tam pies z kulawą nogą nie zajrzał”, bo to ogólna była ubikacja. No i ja spotkałem raz, że widzę, że do domu nie wrócę, do szkoły też nie pójdę, bo tam mogą mnie aresztować, jeśli jest kocioł, no, to już koniec. A wiem z opowiadań, że aresztowania były, ciągle się słyszy, to tego aresztowano, to tamtego innego. Między innymi przyjaciela, kolegę Michała Koryznę z ulicy zabrali. No zabrali go, wiem, że był na Uralu półtora roku. I Jaś, ten Ramot, też był aresztowany. No w każdym razie ze wszystkich stron słyszy się, że ciągle gdzieś aresztują, tylko wia-

domo co. Ja spotkałem swoich byłych kolegów, przyjaciół, oni mnie przytrzymywali, gdzieś mieszkalem, jakiś jedzenie kupilem. W każdym razie zaczęła się tworzyć grupa działalności. Były propozycje albo do oddziału, do lasu, albo działalność na terenie miasta. Ja wolałem zostać na terenie miasta. Początkowo tych kolegów, którzy zaczęli tworzyć, ja nie wiedziałem, czy oni byli z AK, czy z innej organizacji, czy z jakich organizacji byli, tego to nie wiedziałem. Był moment, że jednym z tych, którzy przejmował nad nami dowództwo, znaczy przedstawił się, że będzie nam jako dowódca, powiedział, że jest z NSZ. Ja mówię, obojętnie czy to jest NSZ czy AK, „Jaką będziemy prowadzić działalność?” Wtedy byłem, wiem, że tutaj na Kuniskiego tam byliśmy, u jakichś różnych rodzin, u różnych państwa nocowaliśmy. Wynajmowaliśmy normalnie noclegi. Ostatnio później była zmiana dowódcy. Dowódcą został Sławek Olejnicki, „Jar”. Tak jak się przedstawił, że on brał udział w Powstaniu Warszawskim, ranny był, przedostał się na Pragę i będzie naszym dowódcą. Zaczęliśmy działalność na terenie Lublina. Działalność dywersyjną. Były między innymi, z tych największych, to był sąd okręgowy na Krakowskim.